

**Sylvia Plath**

## **Ocean 1212- W**

*Esej, 1962*

Krajobrazem mojego dzieciństwa był nie ląd, lecz skraj lądu - zimne i słone, ruchome wzgórza Atlantyku. Zdaje mi się czasem, że obraz morza stanowi moją niezaprzeczną własność. Obracam ją w palcach, ja - wygnaniec, jak niegdyś kolekcjonowane purpurowe "kamyczki szczęścia" otoczone białą obwódką, albo jak muszelkę błękitnego małża o wnętrzu mieniącym się niby anielski paznokiec; w przyptywie wspomnień barwy nabierają głębi i blasku, odległy w czasie świat wstrzymuje oddech.

Oddech, przede wszystkim oddech. Coś oddycha. Ja? Matka? Nie, to coś znacznie większego, bardziej oddalonego, groźniejszego, bardziej znużonego. Spod przymkniętych powiek widzę się unoszoną na wodzie; oto jestem kapitanem na małym morzu, sprawdzającym stan pogody, walącym bosakiem w tamę; deszcz kartaczy spada na dzielne geranium matki, albo słyszę usypiające sz-sz wypełnionej po brzegi lustrzanej sadzawki; woda obraca ziarenka kwarcu na swoim obrzeżu tak leniwie i delikatnie, jak dama bawiąca się biżuterią. To mógłby być odgłos deszczu spływającego po szybie okiennej, to mógłby być wiatr, który wzdychając próbuje na różne sposoby wcisnąć się do domu przez szpary. Ja jednak nie dawałam się oszukać. Macierzyński puls morza drwił sobie z takich fałszerstw. Niby tajemnicza kobieta wiele ukrywał; posiadał wiele twarzy, wiele cienkich, straszliwych zasłon. Mówił o cudach i przestrzeniach; skoro mógł się zalecać, mógł też zabijać. Kiedy zaczynałam raczkować, matka położyła mnie na piasku, chcąc zobaczyć, czy mi się to spodoba. Poczłgałam się prosto ku nadbiegającej fali i w chwili, gdy przechodziłam przez mur zieleni, matka chwyciła mnie za stopy.

Często zastanawiałam się, co by się stało, gdyby udało mi się przebić przez to lustro. Czy niemowlęce skrzela przejęłyby obowiązki, co byłoby z solą we krwi? Przez pewien czas wierzyłam nie w Boga ani Świętego Mikołaja, lecz w rusałki. Ich istnienie wydawało mi się tak logiczne i możliwe, jak istnienie przypominającego łamliwą gałązkę konika morskiego w akwarium w ZOO, jak istnienie ryb, które widywałam szarpiące się na wędkach wykrzykujących

wulgarnie wyrazy niedzielnych rybaków - ryb o kształcie starych poszewek i o pełnych, nieśmiałych kobiecych wargach.

I przypominam sobie, jak matka, także córka morza, czytała mnie i bratu - który zjawił się później - z *Zapomnianego trytona* Mathew Arnolda:

*Grotty chłodne, głębokie, piaskiem wymoszczone,  
Tam wszystkie wiatry trwają bez ruchu, uśpione.  
Dogasające blaski skrzą się i migocą,  
A słone wodorosty w wodzie się chybotą.  
Tam potwory podwodne, leżące pokotem,  
Jak na pastwisku tuczą się szlamem i błotem  
Tam morskie węże w wielką spiralę skrócone  
Suszą łuskę lub pławią w solance ogony.  
Tam zakłęty wieloryb swym jedynym okiem  
Przepływając, zagląda w pieczary głębokie,  
Nim dalej pożegluje przez świat i przez wieki.*

Spostrzegłam, że dostałam gęsiej skórki. Nie miałam pojęcia, co ją wywołało. Nie było mi zimno. Czy przeleciał jakiś duch? Nie, to był ten wiersz. Iskierka Arnolda trafiła we mnie i wywołała dreszcze. Czułam się dziwnie; chciało mi się płakać. Odkryłam nowy rodzaj szczęścia.

Od czasu do czasu, kiedy budzi się we mnie nostalgia za moim oceanowym dzieciństwem - zawodzeniem mew i zapachem soli, znajduje się ktoś troskliwy, kto pakuje mnie do samochodu i wiezie ku najbliższemu nadmorskiemu horyzontowi. Zresztą w Anglii nie ma takiego miejsca, które byłoby oddalone od morza więcej niż - ile? - siedemdziesiąt mil. "Proszę bardzo", mówią do mnie, zupełnie jak gdyby morze było ogromną ostrygą podawaną na talerzu, smakującą tak samo we wszystkich restauracjach świata. Wsiadam z samochodu, rozprostowuję nogi, wciągam powietrze. Ale to nie jest to, zupełnie nie to.

Po pierwsze, nie zgadza się geografia. Bo gdzie się podział szary kciuk wieży ciśnień po lewej stronie i ławica piasku w kształcie sopla (właściwie podwodna skała) poniżej, a gdzie więzienie na Wyspie Jeleni - na samym jej końcu po prawej stronie? Droga, którą znałam, schodziła krzywo ku falom, mając z jednej strony ocean, z drugiej - zatokę, a dom mojej babki znajdujący się w połowie tej drogi patrzył na wschód i był pełen słońca i morskich świateł.

Do dziś pamiętam numer telefonu mojej babki: OCEAN 1212-W. Ileż to razy mówiłam go telefonistce, dzwoniąc z naszego domu po zacisznej stronie zatoki, wymawiałam go jak jakieś zakłęcie, piękny rym, oczekując nieśmiało, że razem z babki "Hallo!" usłyszę w czarnej słuchawce, jak w muszli, huczący szum morza.

Tak więc był to oddech morza. A następnie jego światła. Czy było ono jakimś olbrzymim, promieniującym zwierzęciem? Nawet przy zamkniętych oczach czułam na powiekach promyki odbijane przez jego błyszczące lusterka. Leżę w wodnej kołysce, a morskie refleksy, znalazłszy szpary w ciemnozielonych żaluzjach, bawią się i tańczą, albo odpoczywając - delikatnie podrygują. Kiedyś, leżąc w łóżku po obiedzie, stukaliśmy sobie paznokciem po pustej w środku mosiężnej poręczy, chcąc wydobyć z niej jakąś muzykę. Wtem nieoczekiwanie mój wzrok padł na miejsce, w którym połączono ze sobą kawałki nowej tapety w różyczki. Podniecona odkryciem, tym samym ciekawskim paznokciem obnażyłam dużą łysą powierzchnię ściany. Dostałam za to burę i klapsa, a jakże, wreszcie dziadek wyrwał mnie z domowej burzy,

zabierając na długą przechadzkę wzdłuż zalewanego przez morze brzegu, po pagórkach rozsuwających się pod stopami ze szczykiem kamieni.

Moja matka urodziła się i wychowała w tym samym lizanym przez morze domu; wspominała czasy, gdy po rozbiciu statku miejscowi mogli na targu kupić rzeczy wyrzucone przez fale - jakieś czajniki, bele wymokłych tkanin, pojedynczy smętny but. Ale nigdy, jak sięgała pamięcią, fale nie wyrzuciły utopionego marynarza. Tych od razu porywał diabeł morski. Czy morze mogło jeszcze coś przekazać potomności? Czekałam cierpliwie. Brązowe i zielone bryłki szkła znajdowałam codziennie, niebieskie i czerwone zdarzały się rzadziej. Latarnie roztrzaskanych okrętów, czy ogryzione przez morze serca butelek po piwie i whisky? Trudno zgadnąć.

Myślę, że morze pochłonęło wiele tuzinów filiżanek do herbaty - wyrzucanych w otchłań z transatlantyków lub darowanych falom przez zdradzone narzeczone. Znajdowałam kawałki porcelany zdobione szlaczkami nasturcji, ptaszków, bukiecików stokrotek. Wzorki nigdy się nie powtarzały.

Potem pewnego dnia struktury plaży spłonęły w soczewce mojego oka raz na zawsze. Był gorący kwiecień. Siedząc na połyskujących od miki schodkach przed domem babci, grzałam sobie pupę i gapiłam się na zdobioną sztukaterią ścianę, pokrytą chaotycznym wzorem uzyskanym za pomocą jajowatych kamieni, wachlarzowatych muszli i kolorowych szkielek. Mama była w szpitalu. Przebywała już tam trzy tygodnie. Dąsałam się. Nie chciałam nic robić. Jej dezercja wypaliła dziurę na moim niebie. Jakże ona - taka kochająca i troskliwa - mogła tak łatwo mnie porzucić? Babcia, nucąc, ugniatała ciasto na chleb specjalnie dla niej. Hamowała podniecenie. Wenecka, wiktoriańska - zaciskała wargi i nie chciała mi nic powiedzieć. W końcu trochę zmiękła. Otóż wraz z powrotem matki zjawi się niespodzianka. Coś przyjemnego. Będzie to... dzidzius.

Dzidzius.

Nienawidziłam dzidziusiów. Ja, która przez dwa i pół roku stanowiłam centrum kochającego mnie świata, poczułam, że jego osie wykrzywiają się, a polarny chłód unieruchamia mi kości. Stanę się odtąd widzem, muzealnym okazem. Dzidzius!

Nawet dziadek siedzący na werandzie nie potrafił rozproszyć mojego smutku. Odrzuciłam propozycję zakopania jego fajki w gumowej doniczce, żeby wyrosło z niej drzewo fajkowe. Odszedł miękkim krokiem, też obrażony, ale pogwizdując. Czekałam, aż jego postać zwieńczy Wzgórze Wieży Ciśnień i zacznie oddalać się w kierunku nadmorskiej promenady, gdzie mimo niepewnej przedsezonowej pagody ustawiono już stoiska z lodami i hot-dagami. Jego liryczny gwizd namawiał mnie do zapomnienia i przygody. Ale ja nie chciałam zapomnieć. Pieszcząc w sobie urazę, wstrętą i kłującą, skierowałam ciężkie kroki - smutny, nadmorski włóczęga - w wybraną przez siebie przeciwną stronę, ku posepnemu więzieniu. Jak gdybym patrzyła z gwiazdy, ujrzałam o d d z i e l n o ś ć wszystkiego. Moja skóra stanowiła ścianę - ja to ja. Kamień to kamień. Wspaniałe zespolenie z rzeczami świata skończyło się.

Fala się cofnęła, połknęła sama siebie. Oto byłam ja, wyrzucana razem z czarnymi wodorostami, których twarde kuleczki lubiłam rozgniatać, razem z wydrążonymi połówkami pomarańczy i grapefruitów i śmietnikiem muszelek. Objęłam je wszystkie spojrzeniem - stare i samotne - ostre mięczaki, bajkowe łódeczki, małże porośnięte wodorostami, nakrapiane szare koronki ostryg (ale nigdy nie było perły) oraz maciupęńkie "rózki do lodów". Zawsze było wiadomo, gdzie szukać najlepszych muszelek - na zaznaczonej smolistą kreską krawędzi

ostatniej fali. Obojętnie podniosłam sztywną różową rozgwiazdę. Leżała na środku mojej dłoni, śmieszna imitacja mojej własnej ręki. Zdarzała się, że pielęgnowałam żywą rozgwiazdę w słoiku z morską wodą, obserwując jak odrastają jej utracone odnóża. Tego dnia, tego fatalnego dnia narodziła się inności, mojej rywalki, kogoś innego, cisnęłam rozgwiazdę o kamień. Niech zginie. Nie dbam o to.

Palcem u nogi trąciłam krągłe, ślepe kamienie. Nie zwróciły na to uwagi. Były obojętne. Pomyślałam, że są szczęśliwe. Morze, walcząc, odchodziło do nicości, do nieba - linia rozdziału była prawie niewidzialna tego spokojnego dnia. Ze szkoły wiedziałam, że morze otulało brzuch świata niczym niebieski płaszcz, ale moja wiedza jakoś nigdy nie była spójna z tym, co w i d z i a l a m - woda częściowo wciągnięta w powietrze, płaska, szklista zasłana; ślimacze ślady parowców wzdłuż nabrzeża. Z tego, co wiedziałam, zawsze kreśliły tę linię. Ale co mogło być za nią? „Hiszpania”, twierdził Harry Bean, mój przyjaciel o swoich oczach. Mapa mojego małomiasteczkowego umysłu nie mogła tego pomieścić. Hiszpania. Mantyle, złote pałace i byki. Rusałki na skałach, szkatułki z kosztownościami, ekscentryczność. Kawałek tego, co morze nieustannie pożerało i ugniatało, mógł w każdej chwili znaleźć się u mych stóp. Jak znak.

Znak czego?

Znak wyboru i wyróżnienia. Znak, że nie zostałam odrzucana na zawsze. I r z e c z y w i ś c i e dostrzegłam znak. Z mułu wodorostów, jeszcze błyszczących i wydzielających mokry, świeży zapach, wyciągnęła się mała brązowa ręka. Cóż mogłoby tobyć? Czym, c h c i a ł a b y m, żeby to było? Rusałką, hiszpańską infantką?

A to była małpka.

Nie taka prawdziwa małpka, lecz drewniana. Ciężka od wody, którą nasiąknęła, pokryta smolistymi bliznami, gotująca się da skoku na swoim piedestale, obca i święta, długomorda i dziwnie nietutejsza. Oczyściłam ją, osuszyłam, z zachwytem oglądając jej zręcznie wystruganą sierść. Nie była podobna do małpek jedzących fistaszki i robiących głupawe miny, takich, jakie widywałam. Miała szlachetną pozę małpiego Myśliciela. Dopiero niedawno zrozumiałam, że ów totem, któremu tak delikatnie zdejmowałam czapkę z wodorostów (niestety zapodziały się gdzieś razem z innymi skarbami z dzieciństwa) był Świętym Pawianem.

Tak więc morze, dostrzegając moją potrzebę, udzieliło mi błogosławieństwa. Tego dnia przybył do domu braciszek, ale przybył tam również mój cudowny i nawet bezcenny (któż mógł o tym wiedzieć?) pawian.

Czy nadmorski krajobraz towarzyszący mojemu dzieciństwu wykształcił we mnie umiłowanie zmienności i dzikości? Góry mnie przerażają - tak d u m n i e sobie siedzą. Nieruchomość wzgórz dusi mnie jak poducha. Jeśli nie spacerowałam brzegiem, byłam w morzu lub na jego powierzchni. Wujek, atletycznie zbudowany i zręczny młodzieniec, sklecił dla nas plażową huśtawkę. Przy odpowiedniej fali można było wzbicić się aż do szczytu łuku, puścić i spaść do wody.

Nikt nie uczył mnie pływać. To się po prostu zdarzyło. Stałam razem z innymi dziećmi w spokojnej zatoczce, gdzie wada sięgała do pach, kołysana przez fale. Jedno z dzieci, rozpieszczony chłopiec, miał oponę. Siedział w niej i przebierał nogami, ale pływać nie potrafił. Matka ani mnie, ani mojemu bratu nie pozwalała wypożyczać nadmuchiwanych skrzydełek, kół czy poduszek do pływania w obawie, że mogłyby wynieść nas poza bezpieczną głębokość i stać się przyczyną naszej zguby. "Najpierw nauczcie się pływać" - było jej surową dewizą. Chłopiec zlął z opony i trzymając się jej kurczowo balansował na wodzie. Opony nikomu nie pozwalał

dotknąć, rezolutnie uzasadniając, że to jego własność. Nagle coś zamąciło wodę, chłopiec puścił różowe koło ratunkowe, które odpłynęło poza zasięg jego rąk. Na widok straty wytrzeszczył oczy i zaczął płakać. "Złapię ją", powiedziałałam zuchwale, maskując nieokiełznaną chęć popływania na oponie. Skoczyłam, machając na boki rękoma i tracąc grunt pod stopami. Znalazłam się na zabronionym terenie – „powyżej głowy”. Zgodnie z tym, co twierdziła matka, powinnam pójść na dno jak kamień, jednak nie tonęłam. Z uniesioną brodą, rękami i stopami mełłam chłodną zieleń. Złapałam odpływającą z wiatrem oponę i wpłynęłam w nią. Pływałam. Umiałam pływać.

Z lotniska po drugiej stronie zatoki wystartował mały sterowiec wywiadowczy. Uniósł się jak srebrna bańka - pozdrowienie.

Tego lata wujek i jego *petite fiancee* budowali łódź. Razem z bratem podawaliśmy lśniące gwoździe. Budziliśmy się na odgłos stukania młotkiem. Miodowy kolor świeżego drewna, białe wióry (robiłam z nich pierścionki) i słodki kurz piłowania towarzyszyły narodzinom naszego bożyszczka, czegoś pięknego - prawdziwego jachtu. Z morza wujek przynosił czarne makrele. Podawane na stół mieniły się zielono-niebiesko-czarno. A żyliśmy rzeczywiście z morza. Z głowy i ogona dorsza babcia przyrządzała potrawę, która po oziębieniu zastygała we własnej triumfalnej, galarecie. Na kolacje jedliśmy ugotowane na parze miękkie ślimaki, homary podawano w stawianych rządkiem miseczkach. Jednak nigdy nie przyglądałam się temu, jak babcia wrzucała ciemnozielone homary, poruszające zaciśniętymi kleszczami, do garnka z wrzącą wodą, w której już pa minucie opadały na dna I.- czerwone, martwe, jadalne. Zbyt dotkliwie odczuwałam ta straszliwe oparzenie, na mojej własnej skórze.

Morze stanowiło naszą główną rozrywkę. Gdy odwiedzali nas znajomi, sadzaliśmy ich na kocach twarzami do niego, przynosiliśmy termosy, kanapki, kolorowe parasole i sądziliśmy, że właściwie każdemu powinien wystarczyć tylko widok tej wody - niebieskiej, zielonej, szarej czy srebrnej, jaką akurat była. W owych czasach dorośli ubierali się wciąż w czarne, purytańskie kostiumy kąpielowe i to dlatego nasz rodzinny album ze zdjęciami robi wrażenie tak archaiczne.

Moim ostatnim wspomnieniem morza jest obraz żywiołu. Był bezwietrzny, niezdrowo żółty dzień 1939 roku, morze wyglądało jak płynna, błyszcząca stal i poruszało się niespokojnie, jak zwierzę na uwięzi, a w jego zamyślonym oku błyskały diabelskie fiolety. Między babcią, mieszkającą nad odsłoniętym brzegiem oceanu, a mamą, mieszkającą nad zatoką, odbywała się nerwowa telefoniczna wymiana informacji. Brat i ja, oboje jeszcze nie sięgający stołu, chłoniliśmy jak cudowny eliksir te rozmowy o falach sztormowych, wysokości terenu, zabijaniu okien deskami, tratwach. Huragan nadciągnąć miał o zmierzchu. W tamtych czasach huragany nie pączkowały na Florydzie, by zakwitnąć jesienią nad Cape Cod, jak dzieje się to obecnie - hang, bang, bang, raz po raz jak petardy na 4 Lipca, i nie wiedzieć czemu nadaje się im kobiece imiona. Ten był czymś niezwykłym, czymś monstualnym, lewiatanem. Naszemu światu groziło, że zostanie pożarty, rozdarty na strzępy. Chcieliśmy w tym uczestniczyć.

Siarczane popołudnie nienaturalnie wcześniej zrobiło się czarne, jak gdyby tego, co miało przyjść, nie wolno było oglądać ani w świetle pochodni, ani w świetle gwiazd. Zaczęło padać, lało jak za Noego. Potem zaczęło dmuchać. Świat stał się bębniem. Uderzany, wrzeszczał i drżał. Bładzi z podniecenia, brat i ja, siedzieliśmy w łózkach popijając małymi łykami nasze wieczorne mleko. Ale, oczywiście, nie mieliśmy zamiaru spać. Podreptaliśmy do okna i zrobiliśmy szparkę w zasłonie. Na lustrzanej powierzchni czerni nasze twarze falowały jak ćmy, próbujące dostać się do środka. Nie było nic widać. Jedyńm dźwiękiem było wycie, przechodzące w kakofonię huków, trzasków, jęków, odgłosów łamania przedmiotów, rzucanych jak porcelana w kłótni gigantów. Dom kołysał się w posadach. Tak kołysał się i kołysał, że ukołysał do snu dwoje małych

widzów.

Zniszczenia następnego dnia były takie, jakich należało się spodziewać - wyrwane drzewa i słupy telefoniczne, tandetne letnie domki balansujące na wodzie wokół latarni morskiej, szczątki kutrów rybackich. Dom babci przetrwał dzielnie, mimo że fale przebiły się przez drogę aż do zatoki. Jak mówili sąsiedzi, uratowała go zapora zrobiona przez dziadka. Palenisko piasek pokrył złotymi spiralami, sól zostawiła ślady na wyściełanej sofie, martwy rekin spoczął tam, gdzie przedtem był klomb geranium, ale miotły babcia nie straciła, więc wszystko miało wkrótce wrócić do porządku.

Tu zatrzymuje się mój obraz dzieciństwa przeżytego nad morzem. Mój ojciec zmarł, przeprowadziliśmy się w głąb lądu. Tamte dziewięć lat życia zachowało się, jak okręt w zalakowanej butelce - piękne, niedostępne, zapomniane, niczym wspaniały, biały ulotny mit.

*Tłumaczyła* MONIKA J. SUJCZYŃSKA